

My nazywamy ją wodowstrętem; w języku zwierząt zowie się ona dewanee — szalem i budzi wstręt i postrach.

— No, wejdź i przeszukaj kąty — odpowiedział ojciec Wilk wzgardliwie. — Ale cię uprzedzam, że niema nic do zjeżenia.

— Dla wilka, zapewne — rzekł Tabakwi — ale dla tak marnej osoby, jak moja, sucha kość bywa ucztą. My Gidurlog (naród szakalów) nie mamy prawa być wybredni. Bierzymy, co się pod łapę nawinie.

Wśliznął się do jaskini; w głębi jej znalazł ogryzioną kość sarnią i zaczął ją chrupać łapczywie.

— Dzięki za taką ucztę — rzekł wreszcie, oblizując się łakomie. — Śliczne dzietciny, choć jeszcze tak małe! Ha! Zapominam, że dzieci królów dorosłe są już w kolebce.

Otóż Tabakwi wiedział, tak jak i my wiemy, że niema nic gorszego, jak chwalić malców w oczy, i rad był, że te pochwały gniewają ojca Wilka i matkę Wilczycę.

Tabakwi przez chwilę siedział, ciesząc się z wyrządzonej przykrości, wreszcie dodał złośliwie:

— Wielki Shere Khan zmienił plac łowów. O przyszłej jesieni będzie ścigał zwierzynę na tych wzgórzach. Sam mi to powiedział.

Shere Khan, był to tygrys, grasujący nad rzeką Waingunga, o dwadzieścia mil powyżej.

— Nie ma prawa — zaczął ojciec Wilk ze złością. — Wedle ustaw dżungli, nie ma prawa zmieniać legowiska, nie uprzedziwszy wpierrw gromady. Wystraszy całą zwierzynę o dziesięć mil dokoła, a ja... ja muszę teraz zabijać za dwoje.

— Niedarmo rodzona matka nazywała go Lungri (Kuternoga) — wtrąciła spokojnie Wilczyca. — Koszlawy jest od urodzenia i dlatego może polować tylko na bydło. Wiesniacy z Waingunga są na niego wściekli, więc przychodzi tutaj, żeby naszych rozłościć.

W pogoni za nim całą dżunglę przetrzasają... On ujdzie cało, ale za to my i nasze dzieci będziemy musieli umykać, gdy trawy zapala. Zaiste powinniśmy być wdzięczni Shere Khanowi.

— Czy mam mu wyrazić tę waszą wdzięczność — pytał Tabakwi spokojnie. Żałuję, że się podjął zlecenia.

Ojciec Wilk nadśluchiwał. Od doliny, zroszonej rzeczką, leciała gniewna skarga tygrysa, który nie nie ułowił i całej dżungli to oznajmił bez wstydu.

— Głupiec! mruknął ojciec Wilk. — Kto słyszał takim wrzaskiem rozpoczynać nocną robotę. Czyż sądzi, że nasze kozły są na podobieństwo tłustych wołów z Waingungi?

— Cyt! On dziś nie ściga ani kozła, ani wołu, tylko człowieka — rzekła matka Wilczyca.

Skarga przeszła w pomruk. Dochodził on jakby ze wszystkich stron dżungli jednocześnie. Ten pomruk zbija z tropu drwali i koczowników i wpędza ich czasem w samą paszczę tygrysa.

— Człowieka! — zawołał ojciec Wilk, błyskając białymi zębami. — Czyż mu zabrakło owadów i żab w sadzawkach, że zjada człowieka i to na naszym gruncie?

Ustawa dżungli, której każde prawo jest słuszne, zabrania zwierzętom zjadać człowieka. Dozwolonem to jest tylko na prośbę, żeby pokazać dzieciom, jak się na taką zwierzynę poluje, a i wtedy ściga się



JE. WOJCIECH HR. DZIEDUSZYCKI
kandydat na posła do R. R.

lup dwunożny po za obszarami, należącymi do gromady lub plemienia.

Przyczyną istotnego takiego rozporządzenia jest dbałość o własną skórę, albowiem po takich łowach na człowieka, w dżungli zjawiają się niebawem ludzie biali na wielbłądach, ze strzelbami i ludzie brunatni, zbrojni w zapalone pochodnie. A wtedy biała cała dżungli...

Taki jest powód istotny. Ale zwierzęta pomiędzy sobą przytaczają inny zgola, tłumacząc, że skoro człowiek jest najsłabszym i najbezbronnijszym stworzeniem na świecie, to porwać się na niego jest rzeczą niegodną zwierzęcia.

Przekładają dalej, i to prawda, że zjadacze ludzi dostają parchów i tracą zęby.
C. d. n.

WŁODZIMIERZ SULIMA PORIEL.

Noc.

Zagaśło słońce... noc odsłania lica —
Świat okrywając w kir ciemny — ponury,
Na niebie ledwie przez posępne chmury
Sierpek nowego widnieje księżyc.

Leciuchny wietrzyk czasem ziemię muśnie
I trąci smereki poważnie drzemiące,
Wydając szept — jakieś jęki drzące...

Chwilami głosi — chwilami znów uśnie.
Zajęczał smerek... na cichej dolinie —
W dalekie światy, w dalekie hen strony,
Serdeczne łkanie i ból utajony

Ze szmerem wiatru ciemną nocą płynie.
W dali hen — wioska rozsiadła się mała,
W krąg otoczona krzewami zieleni,
Z okienek domostw światelko się mieni.
Lecz gaśnie rychło... Już we śnie wieś cała.

Znów jęknął smerek płaczliwie nademną...
Westchnienie ciężkie pierś moją porusza,
A wiatr płynące łyż gorzkie osusza —
Zawodząc głucho żałośnie wraz ze mną.
I noc ta cicha, w której wietrzyk tylko
Żałośnie jęczy w smerekach drzemiących,
Nie zdoła uśpić w mem sercu drgających,
Serdecznych bólów, ani jedną chwilę.
O losie srogi! Czy już w twym kołczanie
Wszystkie jęczy dla mnie przeznaczone,



PARK PILAWIN JÓZEFA HR. POTOCKIEGO.